№ 49. Warszawa, dnia 5 Grudnia (23 Listopada) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na rok przyszły.

Prenumerata wynosi:

W Warszawie, kwartalnie rs. 1.

Z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Do numeru dzisiejszego dołączamy Listy zwrotne.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Ciąg dalszy).

Wyjeżdżałem z Nicei przez trzy dni, i wyjechać nie mogłem, nakoniec zdobyłem całą siłę woli i wyjechałem do Brehat; ani matka, ani droga Janinka nie uspokoiły mego żalu i tęsknoty za Magdaleną, jej obraz ciągle miałem przed oczyma.

Wróciłem do Afryki, ale i tam ani obowiązki, ani polowanie nie zacierały tęsknoty, cała moja myśl i dusza były skierowane do niej; zasypiałem i budziłem się z jej imieniem na ustach, a jej głos bezustannie szeptał mi słodkie wspomnienia. Czas wlókł się żółwim krokiem — byłem tak zdenerwowanym, doktór, przyjaciel, zaczął się obawiać o mnie; czułem, że kocham Magdalenę całą potęgą mego serca, duszy, rozumu, każdym moim nerwem. Postanowiłem wyjść z wojska i jechać do niej. Podałem prośbę o dymisyę, czekałem długo; minister wojny, jak panu mówiłem, przyjaciel ojca, nie dał odpowiedzi, ale mię wezwał do siebie.

Pojechałem do Paryża, minister namawiał mię, żebym nie rzucał karyery wojskowej, proponował przeniesienie mię do Francyi, wreszcie dostałem tymczasem urlop na jedenaście miesięcy.

Baronowej nie zastałem w Paryżu, gdyż był to Lipiec. Dowiadywałem się o markizę, ale nic pewnego nie mogłem się dowiedzieć, pojechałem więc do Vichy, odszukałem baronowę i dowiedziałem się, że Magdalena bawi na wyspie Jersey. Dobrze się złożyło, Jersey leży nie daleko naszego Brehat. Baronowa obiecała wkrótce przyjechać również na wyspę.

Byłem jak w gorączce, pojechałem do domu; matka niezmiernie ucieszyła się, Janinka urosła i wesołym szczebiotem napełniała pałac, ale ja nie mogłem znaleźć sobie miejsca i na trzeci dzień byłem już na Jersey. We dwie godziny po przybyciu, idąc do Magdaleny spotkałem ją, wyciągnęła do mnie zdziwiona obie ręce i uradowana serdecznie witała.

Tegoż wieczora, siedząc na ławce nad morzem wyznałem jej moją głęboką, wielką miłość, powiedziałem jak jej głos oczarował mię, jak cierpiałem i tęskniłem przez te pięć miesięcy rozłączenia. Ona wzruszona słuchała — a podawszy mi swoje rączyny, mówiła:

— I ja pana pokochałam w pierwszych dniach naszego pobytu w Nicei, ale nie umiałam zdać sobie z tego sprawy, wiedziałam, że się panu podobam, ale nie sądziłam, że mię kochasz. Przez te pięć miesięcy nie schodziłeś mi z myśli, tęskniłam i oczekiwałam czegoś... a dziś, kiedyśmy się spotkali, serce zaczęło mi bić tak gwałtownie, że zdawało mi się, że umrę z radosnego wrażenia. Kocham cię, może więcej jak ty mię kochasz.

Od tej chwili zaczęły się dni szczęścia i radości, odmłodniałem, odżyłem, słuchając głosu Magdaleny i pieszcząc się jej widokiem. Zacząłem żyć nowem, nieznanem mi dotąd życiem. Postanowiliśmy zacząć kroki rozwodowe, a uzyskawszy rozwód połączyć się na zawsze; tymczasem spędzaliśmy dni szczęścia.

Codziennie woziłem ją łódką pod żaglem, a nieraz bywał tak silny wiatr i fala, że nas podrzucało na kilka metrów; ona nigdy się nie bała; uśmiechnięta przytulała swą główkę do mego ramienia i pytała?

— Kochasz?

— Całą duszą — odpowiadałem, — czy lękasz się fali?

— Nie, przy tobie niczego się nie boję. Ty jesteś dla mnie życie i siła, z tobą wszędzie jestem bezpieczna!

Podczas pobytu na Jersey byłem kilka razy w domu i opowiedziałem drogiej matce całą moją sprawę miłosną — ucieszyła się bardzo i pragnęła poznać Magdalenę.

Jak tylko baronowa przyjechała do Jersey, sprowadziłem siostrę i w kilka dni wszyscy pojechaliśmy do nas do Brehat. Magdalena nadzwyczaj podobała się matce, a Janinka od razu przylgnęła do niej. Wesoło i gwarno było w Brehat; wkrótce przyjechał szwagier, bardzo wesoły i pięknie śpiewający i bawiliśmy się wybornie, Magdalena grała doskonale na fortepianie, więc wieczorami często urządzaliśmy koncerty domowe.

Codziennie rano jeździłem z Magdaleną łodzią, inne panie rzadko dotrzymywały nam placu; spały długo i bały się trochę większych fal. Raz złapała nas straszna burza, położenie było bardzo groźne, porozumiewaliśmy się z moim Piotrem, wprawnym marynarzem, trwożnym wzrokiem. Objąłem lewą ręką Magdalenę, która przytulona do mnie nie okazywała żadnej trwogi.

— Czy nie boisz się najdroższa — pytałem?

— Wszak wiesz — odrzekła, podnosząc na mnie oczy, — że przy tobie nigdy niczego się nie boję!

Nadstawiła czoło do pocałowania.

Z wielkim wysiłkiem przybyliśmy do langue de chat. Poszliśmy do domu pokazać się zaniepokojonej rodzinie i zmienić przemokniętą odzież; ale wróciliśmy na taras i usiedli na ławce, podziwiać rozszalałe żywioły wody i powietrza.

Siedzieliśmy ręka w ręku, a słowa miłości bezustannym potokiem płynęły z ust naszych.

— Tyś jest jedyny — śpiewała swą melodyjną mową, — którego pokochałam pierwszą miłością, takie uczucie było mi dotąd nieznane. Przysięgam ci, że tylko ciebie, ciebie jedynego kocham i zawsze kochać będę.

Stary powtórzył to z taką siłą i ogniem, że aż przechyliłem się, aby widzieć jego twarz i gestykulacyę; potem zamilkł, oparł głowę na ręku. Po chwili wypił pół kieliszka wina i dalej mówił:

Magdalena zawładnęła mną zupełnie, była dla mnie bożyszczem, które fanatycznie czciłem; jej jedno słowo, jej słodkie spojrzenie rozbrajały mój najzaciętszy gniew, wzruszenie, wierzyłem w nią jak w Boga, a na jej jedno skinienie oddałbym bez namysłu życie.

Wkrótce pojechaliśmy z nią i baronową do Paryża i tam powierzyli sprawę rozwodową jednemu z najlepszych adwokatów, i w towarzystwie męża baronowej udaliśmy się w podróż.

Podróżowaliśmy sześć miesięcy, byliśmy w Szwajcaryi, Wenecyi, Rzymie, Neapolu i Florencyi. Nie będę panu opisywać tej poezyi, upojeń i zachwytu, byliśmy ciągle na wyżynach miłości bez granic, widziałem jak mię Magdalena kocha, byłem nie tylko szczęśliwy, ale i dumny, a ta jej wiara we mnie, w moję siłę, rzucała mię pod jej nogi!

Wieść o ciężkiej chorobie matki wywołała mię z Florencyi. Magdalena nie chciała zostać, pojechaliśmy razem do Brehat. W przejeździe przez Paryż widzieliśmy adwokata, który nareszcie odnalazł miejsce zamieszkania markiza; był w Stokholmie, gdzie jakaś Włoszka tańczyła.

Wróciwszy do Brehat, zastaliśmy matkę po ataku paralitycznym, Magdalena pielęgnowała ją z cierpliwością i troskliwością szarytki, a matka powróciła do zupełnej władzy i zdrowia. Było to na początku Marca 1870 roku. Matka pokochała Magdalenę, pieściła ją i nie pozwoliła odjechać, Janinka przyzwyczaiła się do niej, a i ona kochała ją i na wyścigi z babcią pieściły dzieciaka. Żyliśmy szczęśliwi polując, jeżdżąc konno lub łodzią i wszyscy oczekiwaliśmy chwili, kiedy Magdalena uzyska rozwód.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRACA KOBIET.

Gałęzie pomocnicze gospodarstwa wiejskiego.

(Dokończenie.)

Faktem jest, że jedną z przyczyn dzisiejszej niemocy wielu gospodarstw dużych stał się brak źródeł pomocniczych dochodu. Obliczono w zasadzie przychód cały na kilku głównych artykułach produkcyi, a przesilenie ekonomiczne obniżyło ceny tej właśnie części wytwórczości rolnej. I naturalnie stało się tak, że majątek, który ufundował swój był wyłącznie na produkcyi ziarna i spirytusu, a nie posiadał środków pomocniczych takich, jak chmiel, sadownictwo, pszczolnictwo, rybołówstwo i przetwory nabiału — że majątek taki postradał naraz całą swoją siłę żywotną. Arterye główne wysychały, a z pobocznych nie napływało nic.

Ztąd tyle katastrof — tyle upadków i zniszczeń, których świadkami byliśmy w ciągu kilku ostatnich dziesiątków lat.

Bezstronność zmusza nas przyznać, że wina spada tu w znacznej części na kobietę. Te gałęzie pomocnicze, to z natury samej rzeczy, dział pracy kobiecej. Tam, gdzie one leżały odłogiem, albo poszły w zaniedbanie, tam winowajczynią była niewątpliwie kobieta. Albo nie umiała ich wytworzyć, albo zaniedbała już istniejące.

Jeżeli dla własności większej tak zgubnym w następstwach okazał się ów niedostatek źródeł pomocniczych dochodu, to jako pewnik przyjąć należy, że gospodarstwa małe zupełnie się bez nich obejść nie mogą, a nawet, że w nich jedynie leży źródło pomyślności wszystkich folwarczków, kolonij i osad, stanowiących własność jednostek intelligentnych. Należy się dobrze przejąć tą prawdą, że tam, gdzie przemyślność ciemnego ludu naszego z trudnością zdobywa się na zadosyćuczynienie najgrubszym zaledwie potrzebom— że z tego samego obszaru, byleby on stanowił własność samą w sobie, praca intelligentnego człowieka wydobyć może niemarzone źródła przychodów.

Przemysł fabryczny wzrasta, miast kilka podnosi się bardzo szybko, potrzeby ludzkie mnożą się, ale odpowiednia wytwórczość miejscowego rolnictwa nie podnosi się równomiernie, i mnóstwo artykułów, które powinniśmy produkować na miejscu, sprowadzamy z zagranicy — inne dla rzadkości swojej dostępnymi są dla wyższej tylko zamożności, a w dodatku mogąc się zdobyć na napój swojski a higieniczny i rozpowszechnić jego życie, zaniedbaliśmy zupełnie tę gałęź przemysłu nie wiedzieć dlaczego, i pozwoliliśmy zagnieździć się trunkowi obcemu, pośledniejszych własności. Mówiąc innemi słowy: zaniedbaliśmy pszczolnictwo, wszelka bardziej wyszukana ogrodowizna jest u nas dla średniej zamożności prawie niedostępna, cena mleka pozbawia zupełnie tego niezbędnego środka odżywczego dziecko rodziców ubogich w mieście, a owocu nie produkujemy nawet dziesiątej części tego, cośmy produkować powinni. Owoc dostępny za granicą dla żebraka nawet, u nas jest dotąd jeszcze artykułem zbytku.

To wszystko razem wzięte mówi o konieczności rozdrabniania się własności wielkiej, to wszystko przypomina o szerokiej przyszłości, jaka się przed umiejętną pracą na małych przestrzeniach otwiera, to wszystko woła o siły młode do tego pola pracy, nietylko nie wykluczając kobiety od udziału w tym trudzie, ale przeciwnie wskazując jej dotykalnie, że tu na nią oczekuje sowite wynagrodzenie materyalne, i zadowolenia, innej natury, na które nigdzie indziej liczyć nie będzie mogła. Nie trzeba marzyć o niebieskich migdałach, ale rachować się z rzeczywistością. Policzmy dobrze kominy naszych fabryk, porachujmy gdzie prawdziwe nasze tłumy i rojowiska, a najlepiej przekonamy się z tego rachunku, gdzie jest u nas istotne pole do pracy społecznej.

Jużciż nikt nie przypuszcza, żebyśmy wyciągali z miast kobietę bez szczególnych indywidualnych skłonności i uzdolnień, i ukazywali jej pracę rolną, jako pożyteczną dla niej i dla tych, co ją w przyszłości otaczać mają.

Toby się nie przydało na nic zupełnie, bo to jest tego rodzaju trud, który należy przedewszystkiem umiłować, do którego trzeba wzrosnąć, do którego skłonność przynosi się chyba we krwi, bo i w to uwierzyć przychodzi, gdy się zblizka tym sprawom w życiu przypatrzymy bliżej. Nie radzimy zabierać się do tego zadania kobiecie młodej, która w jakimś dopiero dwudziestym roku swojego życia, ma się w szkole ogrodniczej dowiadywać, w jaki sposób wzrasta roślina—która potrzebuje się tam dopiero uczyć, aby odróżniła chwast od wschodzącego warzywa—której jednem słowem życie miejskie uczyło dotąd na każdym kroku bagatelizowania tego zachodu całego. O kastach egipskich nie myślimy wcale, ale wyznajemy otwarcie, że córki przemysłowca, rzemieślnika, fabrykanta, kupca—nie bierzemy w tych sprawach w rachunek żaden, a gdyby nam kto o jakichś w tym rodzaju chciał mówić szczęśliwych wyjątkach, to przyklasnąwszy ich intencyom z całego serca, będziemy wiedzieli na pewno, jaką drogą przyszły one do postanowień swoich.

Będą to w każdym razie wyjątki tylko. Natomiast kobieta urodzona na wsi, oswojona z tym działem pracy, żywiąca dla niej szacunek należyty, znająca lud, jego potrzeby i język, jakim się do niego przemawia, jeśli tylko zamarzy o pracy samodzielnej, nie powinna jej szukać w mieście, ale w miarę środków swoich postarawszy się o wiadomości niezbędne, pozostać tam, gdzie jej praca najużyteczniejszą okazać się może.

Nie należy na ten temat pozwalać sobie rojeń o arkadyjskiej szczęśliwości jakiejś, ale bez sielankowych mrzonek można przy dobrym rachunku dojść do wniosku, że kilkowłókowy folwarczek z odpowiednio urządzonym sadem owocowym i warzywnym, z produkcyą nabiału i hodo-

wlą drobiu, z racyonalnie prowadzoną pasieką, jest to bardzo solidny warsztat pracy, dla którego nie należy żałować zachodu i nakładu, i że w tym a nie innym duchu dopełniać się winno owo wielce pożądane rozdrabnianie własności wielkiej i to wczesne obmyślanie działów familijnych o którem mówimy ciągle.

Mamy sobie za obowiązek jak najdobitniej podkreślić ten wyraz *wczesne*, bo nie pojmujemy bynajmniej kobiety naszej cywilizacyi, karczującej jakieś przestrzenie z wytrwałą zawziętością amerykańskiego trapera, ale natomiast rozumiemy zupełnie istotę dojrzałą umysłowo, miłującą spokój, pracę i niezależność, którą troskliwe przewidywanie rozumnych rodziców takim warsztatem pracy na życie uposażało. Potrzebuje ona tutaj odwagi i samodzielności — z pewnością potrzebuje, ale w każdym razie ani tyle odwagi, wiele wymaga rzucenie się na obczyznie w wir akademickiego życia, ani takiej dozy samodzielnej przedsiębiorczości, jaka jest niezbędną do wywalczania sobie egzystencyi wśród tłumów miejskich, między którymi naprawdę cokolwiek ciasno za dni naszych robić się zaczyna.

Nawoływano u nas przez długi czas do stowarzyszeń i spółek rolniczych, ale ci, którzy w tej sprawie głos zabierali, nie zdawali się pojmować, że do takiej współki z minusami hipotecznymi i rozstrojonym aparatem gospodarczym przystępować nie można, że tu jeśli ma być jakaś względna solidarność dopuszczalną, musi ona powstać na gruncie, pod taką formę stowarzyszenia zupełnie oczyszczonym — niezawisłym, a przedewszystkiem zawiązywać się winna odnośnie do pojedyńczych działów produkcyi rolnej. Dlatego nie marząc o wielkich syndykatach rolnych, można jednak wystawić sobie stowarzyszenie właścicieli małych, którzy się zjednoczą w współkę nabiałową—takąż dla zbytu owoców i ich przetworów — podobną zupełnie współkę pszczolarzy, a tej ostatniej nigdy dosyć właścicielom drobnych realności ziemskich przypominać zdaniem naszem nie można. Energia, wytrwanie i znajomość rzeczy, stworzyć mogą w tych warunkach dziwy istotne, bo o wielkich nakładach mowy tu być nie powinno. Ciągła pamięć o tem, czego potrzebuje ta niezmordowana pracowniczka, o której tak zabył rolnik dzisiejszy, z lichwą wynagrodzona będzie w niedługim stosunkowo czasie.

Sadzenie drzew takich jak wierzba, akacya i lipa nie może być uważanem za staranie wyjątkowo podjęte dla pszczół, bo wierzba na opał i jako cień, akacya jako drzewo materyałowe, każdemu wielkiemu i małemu gospodarstwu bezwzględnie są potrzebne, a to, że przytem jeszcze korzystają z nich i pszczoły także, jest to już zyskiem zupełnie dodatkowym. Nie dla pszczół także specyalnie sieje rolnik swoje koniczyny czerwone, a zwłaszcza białe, swoją grykę i łubiny żółte, a przecież z tego wszystkiego gromadzi się owo bogactwo, którego pominięcie jest niewybaczalnem marnotrawstwem w obecnych zwłaszcza warunkach.

To samo da się powiedzieć o ogrodnictwie. Ogród dający korzyści może być tak dobrze założony przy wielkich nakładach, jak przy pomocy małego bardzo wydatku pieniężnego, jeśli do niego zechcemy dodać możliwą znajomość rzeczy i dużo zamiłowania połączonego z wytrwałością. To samo co osiągniemy przez jednorazowe sprowadzenie wielkiej ilości kosztownych szczepów z warszawskich ogrodów, osiągnąć nam wolno przez zaprowadzenie szkółki własnej, z tem jeszcze nadmienieniem, że system ostatni ma za sobą wszelkie technicznej natury korzyści, przed pierwszym, we względzie chociażby aklimatyzacyi rośliny w gruncie miejscowym i w warunkach lokalnych.

Jak powiedzieliśmy wyżej, owocu mamy mało— bardzo mało w naszym kraju. Są miejscowości, gdzie owoc może być pozbytym za gotowe pieniądze prosto z drzewa—są inne odleglejsze okolice, w których do fabrykacyi przetworów uciekać się potrzeba, ale tu i tam korzyści są wielkie— niezaprzeczone, i tylko gnuśne lenistwo cofać się przed niemi, a zupełna nieświadomość ignorować je może.

Otóż w tem właśnie rzecz, że gnuśności takiej w kobiecie, która mówi o pracy, nie chcemy przypuszczać zupełnie, a co do ignorancyi, to i ta nie jest do wytłómaczenia dzisiaj, gdy dla ułatwienia kobiecie możliwości zdobycia sobie fachowego w tym kierunku wykształcenia, jest do rozporządzenia bogata dosyć literatura i piśmiennictwo peryodyczne specyalne, gdy nadto robić zaczynają ludzie dobrej woli wszelkie inne wysiłki możliwe.

Czy u zajmującej stanowisko posiadaczki większej własności ziemskiej, czy u tej, która jako wspólniczka czynna brać winna na barki swoje dział gałęzi pomocniczych w gospodarstwie rolnem, czy u właścicielki małej realności, gdy ją okoliczności do tego powołają, dopomina się o dołożenie ręki ta niewyczerpana nigdy, a tak długo zaniedbywana skarbnica głównego krajowego bogactwa.

Streszczając to wszystko, cośmy powiedzieli wyżej, obecne aspiracye kobiety — aspiracye samodzielności i pracy pożytecznej znaleźć mogą szerokie pole w rolnictwie. Kobieta może, powinna, kobieta ma obowiązek powetowania swoich błędów, zaniedbań i lekceważenia tego działu pracy, a jak na początek to przedewszystkiem zwalczenia wielu uprzedzeń, które umysły płytkie i powierzchowne na niekorzyść pracy rolnej zdołały przez długi szereg lat wszczepić warstwom inteligencyi naszej. Nie wiedzieć na jakim fundamencie ugruntowało się mniemanie, że to wszystko jest w stosunku do reszty pracy ludzkiej czemś pośledniejszem — niższem, że człowiek oddany temu trudowi siłą konieczności samej pleśnieje, staje się obcym potrzebom narzuconym przez cywilizacyą, i Bóg wie nie co tam jeszcze w tym rodzaju.

Są to brednie bezpodstawne i pozbawione logiki, którym praktyka życia przeczy bardzo wymownie. Przy dzisiejszym ruchu piśmiennictwa, obcym postępowi myśli ludzkiej nie potrzebuje człowiek pozostawać nigdzie, byle tylko miał szczere chęci oświecania się, a czy są nadto przewagi pewne, które daje obcowanie z przyrodą, nad płyciutkiem, szczebiotliwem i beztreściwem często życiem miejskiem, o tem nie jedno powiedziećby się dało.

Pozostaje nam jeszcze poruszyć ostatni punkt założenia, jaki zrobiliśmy sobie w tej pogadance naszej. Idzie o te kobiety, które kształcąc się w ogrodnictwie, pszczolnictwie i jedwabnictwie, mają na widoku poszukiwanie dla siebie kawałka chleba po zdobyciu tych wiadomości.

Jest to niewątpliwie nowość w naszych stosunkach, ale niekoniecznie idzie zatem, aby złem, czy niepożytecznem być miało coś z tej jedynie racyi, że jest na pewnym gruncie dotąd nieby wałem.

Byle kobieta wzięła te swoje specyalności na seryo, byle nie dała sobie wmówić, że dla niej okres pracy przygotowawczej potrzebuje być krótszym niż dla mężczyzny, i byle nie pozwoliła się o tem przekonać, że powierzchownem musi być z natury rzeczy wykwalifikowanie się w tych trzech naraz gałęziach pomocniczych gospodarstwa rolnego — uzdolnienie da jej z pewnością w przyszłości byt zadawalniający.

Średnia, a może niżej niż średnia, zamożność naszego rolnika nie pozwala na utrzymywanie osobnego pracownika do każdej z tych gałęzi, i źle robią ci wszyscy, którzy przeciwne mniemania upowszechniają, posługując się argumentem, jakoby każda z tych specyalności wymagała osobnego uzdolnienia na długiej przygotowawczej pracy opartego. Nie ma się co rachować z takiemi opiniami, bo temu doświadczenie zaprzecza wprost. Co się zaś tyczy konkurencyi, jaką na tej drodze spotka zawsze kobieta w mężczyznie, odpowiemy krótko:

Nie znamy przyczyn, dla których kobieta nie miałaby zostać równie dobrym ogrodnikiem i pszczolarzem, jak mężczyzna, ale natomiast znamy wiele pobudek, które skłonić mogą właściciela ziemskiego do dania pierwszeństwa kobiecie uczciwej, znającej swój fach i oświeconej, przed mężczyzną ciemnym, wątpliwej moralności, albo trzeźwości zagadkowej.

S.

Władysław Sterling.

SONET.

KSIĘGA.

Przeglądam zżółkłą księgę mojego żywota,
Zabrakło jednej karty — karty pieśni! Blada,
Jako stepowe widmo, którem wicher miota,
Rozprysnęła się we mgieł toni, jak Najada.

I niby gołąb biały i cichy, tęsknota
Krąży nad mojem czołem i na usta siada,
I strzaskanem skrzydełkiem żałośnie trzepota,
I pękniętem gardziołkiem smutno śpiewa: biada:

Cyrce! mnie dzieckiem pieśnią do snu kołysano,
Ja się modliłem pieśnią, ja tą pieśnią łkałem,
Ja bluźniłem tą pieśnią, zbrukany czczym szałem,

Słowami, wobec których piekieł ognie bledną!
Cyrce! całą mą istność przyniosłem ci w wiano —
Odebrałaś mi wszystko. Oddaj mi to jedno.

O Froeblowstwie.

SŁÓW KILKA.

(Dokończenie.)

Powiedzą nam na to, że dziecko potrzeba rozwijać wszechstronnie, że obok chęci wiedzenia, obok zdolności tworzenia obrazów, posiada ono chęć działania, posiada odradzające się wciąż zasoby energii czynnej, które ku największej korzyści jego zużytkować wypada. Do celu tego przedziwnie nadawać się mają różnorodne, zalecane przez Froebla, a tak powszechnie stosowane u nas, zajęcia ręczne: układania, wycinania, wyplatania, przeplatania, układania patyczkami, wyszywania, roboty z grochu i t. p. Obfity, szczególnie obfity zbiór takich robótek mogliśmy podziwiać na tegorocznej Wystawie Hygienicznej.

Dostarczyły go nasze zakłady froeblowskie, i publiczność winna im za to szczere uznanie, bo jakkolwiek nie łatwo było doszukać się związku pomiędzy pojęciem hygieny, a tą nawałą gracików brzydkich i bezużytecznych, to za to o całem froeblowstwie naszem dawała ona świadectwo bardzo wymowne, i zmuszała niejako do zastanowienia się nad kierunkiem, który od pewnego czasu ogarnął niepodzielnie dziedzinę wychowania przedszkolnego. Bezwątpienia niejednemu ze zwiedzających wystawę, gdy znalazł się wobec tego działu, przyszło na myśl, o ile szczęśliwszemi od wychowańców szkółek froeblowskich są dzieci wieśniaków naszych, nie zmuszane pod kierunkiem froeblanki do ślęczenia nad lepieniem przedmiotów, kwalifikujących się jedynie do wyrzucenia za okno. Przed temi dziećmi, nad których rozwojem nikt wprawdzie nie czuwa, ale których rozwoju nie krępuje w zamian żadna metoda, otwartą jest od pierwszego dnia życia wieczysta księga przyrody. Ona pojęcia ich rozwija szybciej i normalniej, niż najwprawniejsza froeblówka. Zasoby energii, narastające wciąż siły zużywają one w ćwiczeniach fizycznych. Popędy ich do zajęć ręcznych znajdują ujście w odtwarzaniu przedmiotów codziennego otoczenia. Ale odtwarzanie to nie odbywa się pod żadnym naciskiem zewnętrznym.

Bez bodźców, bez pomocy, samodzielną pracą umysłów młodocianych dochodzą one do tworzenia rzeczy daleko bardziej skomplikowanych, niż wszystkie figle froeblowskie. Od lalki z gałganków, od bałwana ze śniegu, przechodzą do fabrykacyi przeróżnych wózków, młynków, wiatraczków, fujarki lub skrzypki lipowej. Tu istotnie wyrabia się pomysłowość, wynalazczość, inicyatywa, tu nauczyciel nie prowadzi za rękę, nie podsuwa pojęć, nie rozleniwia myśli. Tu wszystko zdobywa się własną pracą, własnym trudem i wysiłkiem. Tak wygimnastykowany umysł z pewnością większą posiadać będzie sprężystość, niżeli prowadzony zwolna, ostrożnie po stopniach wyobrażeń, podtrzymywany nieustannie i dlatego spuszczający się na pomoc obcą, zwątlany systematycznem usuwaniem z przed niego wszelkich trudności. Dziecko wychodzące z rąk najumiejętniejszej Froeblówki, to mały rutynista, nie umiejący na polu zabawy stawić ani jednego kroku samodzielnie, zdolny do postępowania tylko wedle przyswojonego sobie szablonu. Pamięta on kombinacye klockowej mozajki, umie lepić grochy, lub przetykać zapałkami karty, ale na jakikolwiek pomysł własny nie zdobywa się prawie nigdy.

Dostarczyć dzieciom materyału do zajęć ręcznych, pozwolić im urabiać go podług woli i ochoty, a następnie umieć obserwować rezultaty tych prac, i z obserwacyi wyciągać wnioski ogólne, to zdaje się wszystko, czego od wychowawcy w tym wypadku domagać się należy. Dziecko o umyśle rozbudzonym już pierwej opowiadaniami i widokiem zjawisk przyrody będzie się starało przy pomocy dostarczonych mu materyałów odtworzyć obrazy widziane w wyobraźni, lub oglądane kiedyś w rzeczywistości. A czy mu się to uda lepiej, czy gorzej, czy z cegieł zbuduje „pałac" lub z mchu liści i patyków założy „ogród", zawsze to będzie uzewnętrznienie jakiejś idei, tkwiącej w mózgu dzieciny, plastyczne oddanie obrazu, który myśl jej stworzyła, będzie to zawsze coś, na czem już do pewnego stopnia odciśnie się indywidualność dziecka, i z czego wychowca-psycholog potrafi wyciągnąć wskazówki co do dalszego sposobu traktowania tej budzącej się duszy. Znaczenia tego, rozumie się, mozajki i plecionki froeblowskie mieć nigdy nie mogą. Są bowiem wszystkie podobne do siebie, wszystkie wykonane podług tych samych wzorów i nietylko pod kierunkiem, ale z przeważnym udziałem nauczycielki.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad zajęciami ręcznemi, gdyż dział ten najgorliwiej uprawianym bywa przez nasze froeblówki; więcej daleko po święcają mu czasu dzieci nasze, niżeli grom t. z. *ruchomym*, a które właściwiej byłoby nazwać ruchliwemi. Gry te z wielu bardzo względów godne zalecenia, stanowią ulubioną zabawę dzieci. I w tym razie jednak wolelibyśmy, by pozostawiono im więcej swobody, więcej pola do inicyatywy osobistej, niżeli na to metoda pozwala.

Pielęgnowanie roślin i zwierząt zbliżające istotę ludzką do przyrody, zalecane tak często przez Froebla, znajduje u nas bardzo małe zastosowanie, zwłaszcza wśród dzieci miejskich. Na tym punkcie nie wahaliśmy się odstąpić od wskazówek słynnego pedagoga.

Co do pogadanek, te jako traktujące zawsze o rzeczach, czasami podające szczegóły jakieś z życia zwierząt, ale nie wybiegające nigdy i z zasady w krainę fantazyi, nie mogą wpływać dodatnio na umysłowość dzieci naszych.

Na tym punkcie zarówno jak na innych metoda Froebla okazuje się dla nich nie wystarczającą. Stworzoną została, jak zaznaczyliśmy wyżej, dla innych ustrojów duchowych, dla umysłów cięższych, zdobywających pojęcie każde powoli i mozolnie, dla organizacyi obdarzonych mniejszą dozą wyobraźni, dla temperamentów flegmatycznych. Nie uwzględnia ona, a nawet lekceważy i pomija pierwszorzędne właściwości umysłów słowiańskich, i dlatego w rozwoju dzieci naszych stanowi czynnik częściej ujemny, niż dodatni.

Są to uwagi ogólne, na których uzasadnienie brak nam miejsca.

Zaznaczywszy niekorzystny podług nas wpływ froeblowskiego systemu na stronę umysłową dzieci naszych, przejdźmy do uczuciowej i moralnej.

Tu różnice charakteru narodowego są tak uderzające, że zbytecznem byłoby zasłaniać się powagą znakomitych pisarzy i publicystów. Wyższy stopień uczuciowości ludów słowiańskich, ich łatwa zapalność, skłonność do entuzyazmu, do uniesień znane są ogólnie, i niepodawane w wątpliwość.

Jednostka należąca do tej rassy, zasad, przekonań, kierowników moralnych nie zdobywa drogą rozumowania, ona dochodzi do nich drogą uczuć, one rodzą się w jej duszy i dojrzewają w chwilach potężnych szlachetnych uniesień.

Czy Froebel tworząc swój system, przypuszczał istnienie chwil podobnych u dzieci, czy uczył jak korzystać z nich, aby pierwiastek boski ukryty w człowieku wydobyć na jaw? Z pewnością nie. On znał inną duszę dziecięcą, i dla innej układał swoje szablony. Gdyby mu przyszło mieć do czynienia z tą istotą subtelną, wrażliwą, o wyobraźni bogatej, o umyśle bystrym, ale nie skłonnym do pracy długiej i systematycznej, z tą małą istotką tajemniczą, a pełną powabu, która zowie się dzieckiem najmłodszego z plemion aryjskich, zadumałby się z pewnością zacny pedagog, i nie kazałby stosować do niej tej samej metody, którą obmyślił dla praktycznych małych gospodyń, i niestrudzonych pracowników niemieckich.

Cóż zpowodowało pedagogów naszych, że nie uwzględniając różnic ustroju moralnego i umysłowego dzieci naszych i niemieckich—różnic, które przecież powinny były nasuwać się ich myśli, narzucili nam tak bezwzględnie metodę Froebla? Na pytanie to szukając odpowiedzi, zaczepić nam potrzeba o sferę ogólnospołecznych poglądów, które panowały u nas w chwili, gdy niemiecka metoda wychowania zaczynała znajdować u nas grunt. W czasie tym niezadowoleni z naszego charakteru narodowego, mieliśmy w pogardzie wszystko, co nazywa się uczuciowością, entuzyazmem, nierozsądną skłonnością altruistyczną, fantazyą wreszcie i marzycielstwem; chętnie bylibyśmy zapożyczyli u Niemców, charakteryzujących rasę ich przymiotów: praktyczności, oszczędności, pracy wytrwałej, rozsądku i t. p.

Metoda Fr. wydała nam się doskonałem ku temu narzędziem. Tłumiła wyobraźnię, którą ogłoszono wówczas za wielką winowajczynię, nie rozwijała uczuć, uczyła pracy. Uwierzyliśmy słowom Fr.: „Dziecko bawiące się spokojnie, gorliwie, wytrwale, będzie później takim samym gorliwym, wytrwałym, spokojnym pracownikiem". Takich pożądaliśmy—spokojnych, wytrwałych, nie żadnych „rozwichrzonych czortów". Zapomnieli tylko wychowawcy społeczeństwa, że charakter narodowy wykrzywić można, ale przeistoczyć go nie sposób. I z pod systemu Froebla nie wyszli oto ani rozmarzeni szaleńcy, ani pracownicy wytrwali, wyszły istoty bezbarwne, bez inicyatywy, bez pragnień, bez woli, i bez charakteru.

Niesłusznem byłoby może winę tego smutnego zjawiska przypisywać w całości omawianej metodzie, to pewna, że zprowadzając dzieci nasze od pierwszych chwil życia z przyrodzonej im drogi rozwoju, przyczyniła się w znacznej części do zatarcia w nich indywidualności, osłabienia energii myśli i czynu, a nadewszystko osłabienia poczucia moralnego.

Czas w każdym razie opuścić ten gościniec utarty już wprawdzie, a poszukać ścieżki własnej. Zbliżmy dzieci nasze do przyrody, nie lękajmy się dla nich opowiadań bohaterskich, nie obawiajmy się malcowi, który posiadł tajemnicę czytania dać w rękę jak niegdyś starego Plutarcha, lub innej księgi w tym rodzaju, nie zamykajmy ducha jego w ścianach dziecinnego pokoju, wśród klocków, łamigłówek i wyszywań, pozwólmy myśli tej, którą Bóg uczynił lotną pójść szlakami przezna-

czeń swoich, w górę, nie zatrzymujmy jej przy ziemi. Zwątlała u nas roślina ludzka, dajmy jej z atmosfery właściwej jej naturze zaczerpnąć sił, by rozzieleniła się znowu, by zakwitła i owoce wydała?

H. C.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Wszystko to zajmujące, arcyciekawe — tłómaczył się Ohana, — ale cóż, kiedy korzystać nie mogę, bo muszę jechać koniecznie. Jednakże — dodał uprzejmie, — panowie nie odmówicie, skoro was poproszę o odwiedzenie mnie, samotnika w mojej własnej pustelni. Urządzę wam i tańce, i winta, i baczka i zabawę kwiatową — co kto woli.

— A kiedyż będzie ta uroczystość nikoreska? — pytali, — już nam o tym balu mówiono.

— Tak, prosiłem sąsiadów, korzystając z okazyi jarmarcznej. Niby, myślę, mniej więcej w połowie tego miesiąca — kto łaskaw, to proszę; dam znać zawczasu! Mogę już teraz przyjmować, dom wyrestaurowany, ogród uporządkowany, wypada więc, byście mi panowie życzliwie oblali to wszystko.

— Znakomicie! Jesteśmy na usługi — wołał Russo, a potem podając rękę Ohanie żegnał się z nim, ciągnąc za sobą pana Antoniego.

— Chodźmy, i na nas czas, tam pewnie czekają, a ten cygan łypiący ślepiami musi się wściekać.

Poszli.

Owanes zaś załatwiwszy się z Muńką i pożegnawszy ze wszystkimi, wsiadł z Tigranesem do powozu i odjechał.

VI.

W Nikoresztach był bal.

W pokojach i salonach panował ruch: roiło się od wyfraczonych panów i postrojonych pań. Bawiono się doskonale; Ohana potrafił tak jakoś wszystko urządzić, że każdy znajdował się jakby u siebie, miał swobodę, czując się jednocześnie w tej eleganckiej atmosferze, która nie raziła nawet wybrednego gustu wielkomiejskiego. Kto chciał to tańczył, bo umyślnie sprowadzona z Odessy orkiestra, złożona z kilkunastu wybornych cygańskich muzykantów wygrywała już od kilku godzin najmodniejsze i najładniejsze walce, polki, kontredanse, pociągając ochocze pary do ogromnej sali balowej, migocącej, błyszczącej, mieniącej się złotawym połyskiem jedwabnego obicia ścian.

Przy jednej z kolumn podpierających chór obszerny, na którym grali cyganie, stał Russo z eleganckim panem Antoniewiczem. Przyglądali się obaj kręcącym się w wirowym tańcu parom i rozmawiali sobie półgłosem. Nie przeszkadzali nikomu, nikt też na nich nie zwracał uwagi, gdyż każda prawie dama miała przy sobie bawiącego ją tancerza.

Powódź światła padającego z kryształowego żyrandola, z kinkietów złoconych, zalewała ten tłum rozbawiony, rozweselony, hasający, i robiła go jeszcze więcej ożywionym, niż był w istocie.

Pod samem oknem na małym aksamitnym tabureciku wypoczywała jakaś młoda kobieta w czerwonej, jedwabnej, suto oszytej koronkami sukni. W pukiel zwinięte czarne, obfite włosy zdobiły jej zgrabną główkę, w której jak dwa dyamenty błyszczały oczy wielkie, wymowne, płomienne; nosek mały, zgrabny i karminowe usta złożone jak do pocałunku dopełniały jej urody.

— Kto jest ta piękna pani? — spytał elegancki pan Antoni swego towarzysza.

— A co, zainteresowała pana?

— Tak, śliczna kobieta; nie widziałem jej tu nigdzie, to nie z naszych, prawda?

— Zaraz poznać, że nie z naszych — odparł Russo, — to proszę pana, pani Kargopulo.

— Greczynka?

— Greczynka. Żona tego grubego szpakowa tego jegomościa, co gra z Brazlim i starym Domaszkanem w winta.

— Tego starego, łysego Greka, kupca?

— Tego panie, tego... Stary, łysy, ale milioner. W Odessie giełdą trzęsie i kpi sobie z całego świata. Żonę sprowadził z Konstantynopola i kontent, chełpi się nią po teatrach, po balach i zabawach.

— A bo też śliczna, dalibóg śliczna, to królowa balu. Zkąd tam tych Kargopulów ściągnął ten dyabeł Ohana?

— Podobno Kargopulo jest jego dobrym znajomym — wyjaśniał Russo, — przyjacielem nawet; razem interesa robili na Wschodzie, razem z niczego zaczynali, razem zostali bogaczami. Ma ich pan tu kilku tych tuzów z Odessy; Ohana ich sprosił, chciał nam, biedakom, zrobić niespodziankę, zaimponować swojemi znajomościami — chytra szelma!

W czterech rogach sali stały kanapki aksamitne nizkie, ukryte w gęstwinie roślin egzotycznych, które je swymi liśćmi szerokimi a długimi nawpół przysłaniały. Było tam zaciszniej i swobodniej, choć trochę dalej od tańczących.

Na jednej takiej kanapce opartej na ukos o ścianę siedziała Helena.

Chociaż nie tańczyła, czuła się jakoś zmęczona gorącem, rozwinąwszy przeto duży ze strusich piór złożony wachlarz, owiewała się nim dla ochłody. Na twarzy znać było rozlaną uciechę; ciekawie rozglądała się po tej sali wspaniałej i oczyma szukała właściciela.

Tak jej dzisiaj było błogo, tak jakoś bardzo szczęśliwie, że aż się bała tego szczęścia; niepokoiło ją ono trochę; otrząsała się też z tej przykrej myśli, która jak nietoperz krążyła jej wkoło głowy. Przecież to było zupełnie naturalne, iż ona tu z mężem przyjechała, przecież tu wszyscy swoi i nie swoi się zjechali. A jednak przypomniała sobie teraz tą niechęć jego, tego męża, na samą wzmiankę o owym balu wspaniałym.

Niby nic wyraźnie nie mówił, ale dawał jej już poznać, że coś podejrzewa, że wie nawet o ich miłości, lecz nie jest zdecydowany jak postąpić. Czytała te jego myśli z oczu, z rzuconych przelotnie słów, z ruchów nawet, bo ona się teraz dziwnie nauczyła czytać w tym mężu. Stawał się on dla niej księgą ciekawą, a niebezpieczną zarazem. Zresztą czyż nie widziała tej zmiany dawnego życzliwego obcowania z Ohaną na jakieś zimne, obojętne.

Nie tańczyła dotąd; usiadła sobie dlatego na uboczu. Nie tańczyła, gdyż on nie tańczył, a obawiała się, by jej za złe nie miał, że bawi się bez niego. Słuchała tego walca i wczuwała się w szał balowy, który i na nią powoli działać poczynał.

Naraz usłyszała za sobą:

— Czemu pani nie tańczy?

Obejrzała się. Z po za ogromnego rododendronu przeglądała chyląca się ku niej potężna postać Ohany. Nie spodziewała się tego zajścia.

— Czemu? Ja sama nie wiem — czemu.

I spojrzała mu prosto w oczy.

— Niech pan tańczy — namawiała go.

— Pani wie, że tańce są dla mnie sztuką nieznaną.

— Szkoda.

— Wielka szkoda, bo sam doświadczam tego obłędu tanecznego, co drażni rozkosznie nerwy.

Zatrzymał się i patrzał na nią, a potem szepnął:

— Jakaś ty, Helciu, cudowna?

— Dzisiaj?

— Zawsze. Ale zwłaszcza dzisiaj w tej sukni białej, z tym półksiężycem migocącym we włosach.

— Widzisz, że jeszcze nie jestem taka stara? — śmiała się cicho.

— Dla mnie tyś zawsze młoda, śliczna, boska, dla mnie tyś zawsze jedno i to samo marzenie wiosenne. Patrząc na ciebie, zdaje mi się, żeś spłynęła z tych śnieżnych gór naszej starej, ormiańskiej ojczyzny i jak zjawisko, jak bogini osiadła między nami.

Przerwała mu, choć jej się pierś podnosiła z rozkoszy na te słowa urocze, wyrzeczone głosem czystym, miękkim, głaszczącym, jej ucho.

— Jak to u ciebie wspaniale urządzone!

— A czy oglądałaś wszystkie pokoje?

— Prawie wszystkie, on mnie oprowadzał, prosiłam go o to, chciałam choć wrażenie żywe wynieść z tego domu, w którym mieszka ten mój, mój Owanes.

— To dla ciebie.

— Marzenie — odszepnęła mu tęsknie. — Mój los jest inny; cieszmy się chwilą obecną, bo przyszłość nie pewna.

— Czy znowu co nowego? — pytał niespokojny.

— Nie, ale ja przeczuwam coś niedobrego. Oleś coraz to podejrzliwszy, nic nie mówi, ale ja widzę, co się z nim dzieje. Boję się tego spokoju, jakby przed burzą. Czy nie uważasz we mnie zmiany?

— Uważam, i dlatego mnie ona męczy.

— Jednakże — dodał chmurnie, — cieszmy się tem, co los nam nastręcza, baw się, proszę cię, tańcz...

— Bez ciebie? Nie byłbyś zazdrosny?

— Nie, nie, bo jestem pewny, bo jestem za dumny, za pyszny, bym mógł nawet przypuścić, że ci tam jaki z tych panów sztywnych lub tych lowelasów miejskich głowę zawróci.

Tu zatrzymał się, a potem rzekł nagle:

— Helciu, mam prośbę do ciebie.

Słuchała go.

— Prośbę! Wiesz, urządziłem w tym pałacu jeden zakątek uroczy, zaciszny, który zasłoniłem

przed okiem wszystkich. Jestem jak wiesz fantastykiem. W tym małym pokoju marzę zwykle o tobie, mówiłem ci już o tem w Teleszówce; otóż pragnąłbym, byś tam była, byś się choć przeszła po dywanach, i zostawiła myśl, tchnienie swoje nie zmieszane z tymi wyziewami balowymi, które napełniły dom mój cały.

Słuchała dalej, a serce jej biło jak młotem.

— Niech mam choć złudzenie tej rozkoszy, o jakiej marzę, rozkoszy, o jakiej śnię.

Zatrzymał się, czekał jej odpowiedzi wzruszony, podniecony, namiętny.

A ona spuściwszy oczy wyrzekła:

— Nie, ja się boję tam iść.

— Ah! nie wierzysz mi?

I zabierał się do odejścia.

Widząc to, przykro jej się zrobiło, serce jej zmiękło i nie mogła się oprzeć, dusza się rwała ku niemu. Nie, dziś mu przykrości zrobić nie mogła, i tak dużo dla niej zniósł już i znosi dotychczas. Szepnęła mu zatem:

— Mamże ci wierzyć. Mam być pewną, że nic się nie stanie?

— Tak, przysięgam ci!

— Pamiętaj.

Twarz mu się wypogodziła, zajaśniał na niej cień radości, nachylił się i tak jej mówił szeptem:

— Słuchaj więc i uważaj. Tuż za salą, na prawo jest pokój lustrzany, pójdziesz tam i naciśniesz maleńki, nieznacznie w futrynę jedynego okna wbity guziczek. Za naciśnięciem lustro wprawione w boczną ścianę rozsunie się i zostawi wolne przejście do małej cieplarni, w której mnie znajdziesz, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Teraz zaś baw się, ja już pójdę, bo może ta nasza rozmowa zwrócić czyją uwagę niepotrzebnie, zresztą jako gospodarz muszę być wszędzie — dodał z uśmiechem.

— Ale, mój drogi, mój najdroższy, czy tam nas nikt nie znajdzie?

— Niemożliwe. Nikt o przejściu nie wie. To mój pomysł, a mnie pomysły nie zawodzą.

Rzuciwszy jej te słowa zniknął za ciemno-wiśniową ciężką portyerą biblioteki.

Tu zastał pana Kajetana zawzięcie rozprawiającego z Dziewatowem, bogatym bankierem odesskim. Obok nich siedzieli Tigranes i młody Bizar, przysłuchujący się pilnie gawędzie starszych, i od czasu do czasu wtrącający swoje zdanie.

Czwórka ta rozmawiała po ormiańsku, każdy na swój sposób. Tigranes z Dziewatowem wysławiali się gładko, z łatwością; narodowa gwara była ich językiem myśli i domowego życia. Pan Kajetan musiał dobierać słów, raz po raz wtrącając jakiś wyraz polski, ruski, lub rumuński.

Widocznie rozmowa przybrała charakter dosyć ostry, bo pan Kajetan, z właściwą sobie żywością temperamentu aż powstał od stołu, a chwyciwszy za ramię poważnego, otyłego Dziewatowa, trąbił mu prosto do ucha łamaną ormiańszczyzną poglądy swoje polityczne. Dziewatow żżymał się, marszczył brwi, lecz słuchał napozór spokojnie, by później tem łacniej pobić przeciwnika.

Ohana stanąwszy w progu ogarnął odrazu polemiczną sytuacyę, a ponieważ głowę miał pełną innych myśli, cofnął się i wszedł do głównego bufetu przez salę bilardową.

Idąc za radą Antoniewicza, Ohana zaniechał urządzenia wspólnej dla wszystkich kolacyi przy ogólnym stole; wiedział jakie te wieczerze o oznaczonej godzinie bywają nudne i męczące, chciał więc każdemu zostawić wolne słowo w wyborze potraw, czasu i miejsca. Kazał przeto w olbrzymiej jadalni zastawić stoły bogatymi serwisami. Kto chciał i kiedy chciał przychodził, i miał na zawołanie wszystkie potrawy wymienione na ozdobnie wydrukowanym jadłospisie. Podobało się to ogólnie, ztąd jadalnia zawsze była pełna, jedni wchodzili, inni wychodzili śmiejąc się i gawędząc swobodnie.

Kiedy przestąpił próg, zastał tu już grono ochoczych tancerzy i tancerek zajadających smacznie. Śmiech, rozmowa, brzęk nie ustawał ani na chwilę. Na samym rogu ogromnego stołu dębowego, nad którym wisiała lampa w żelaznej bogato bronzami wykładanej oprawie, rzucając jasne światło na biesiadników, zauważył Szymonowicza, obok którego siedział niefortunny adorator pięknej pani Kargopulo, mając naprzeciwko przystojną pannę Antoniewicz, a obok siebie milczącego jak zwykle młodego Łukaszewicza z Rubleńca. Na twarzy panny znać było cień smutku, tęsknoty jakiejś, który jej ładną twarzyczkę przysłaniał, kładąc na niej znamię cichego cierpienia. Odkąd wiedziała, że Ohana nie myśli o niej, nie kocha jej, ten smutek cichy ją trawił; a nie mogła mu się oprzeć, bo ją za bardzo opanował.

Ztąd też, choć się śmiała odpowiadając na dowcipne pytania młodego Stepanowa, którego po raz pierwszy tu poznała i który swą delikatnością i grzecznością uprzedzającą zwrócił jej uwagę, znać było po niej, że myśl ma czem innem zajętą.

To też spłonęła delikatnie, dostrzegłszy w lustrze Ohanę, który stał za nią; zmieszała się nagłem zjawieniem się tego, który jej serce zapełniał tęsknotą. Nie wyrzucała mu nic, bo była dobra, owszem życzyła mu jak najlepiej, ale miała żal do losu ślepego, który ją z nim zetknął.

— Czemu pan nie je? — Zagadnął Szymonowicza, czując, że trzeba coś powiedzieć.

— Już jadłem, piłem, grałem — odrzekł tenże krótko, obrzucając go nieznacznie nieufnem wejrzeniem, jakby coś w nim tajemniczego przypuszczał.

— A może napilibyśmy się po lampce szampana, to zimne, dobrze zrobi przy takiem gorącu, jakie panuje w tym pokoju.

Rzeczywiście od potraw, od oddechów zadyszanych tancerzy, od ciepła wydzielanego przez światło lampy i kinkietów, zrobiło się w tej ogromnej sali jadalnej gorąco.

— Owszem, może pan ma słuszność, napijmy się.

Lokaj nalał pieniący się, perlisty szampan do dużych lampek i postawił je przed nimi. Trącili się i wychylili musujący trunek jednym haustem. Za ich przykładem poszli inni, i szampan począł krążyć wśród biesiadników, podniecając ich wesołość i ochoczość.

Zaczem Ohana opuścił jadalnię, a przystanąwszy chwilkę w małym, bocznym saloniku, gdzie przy trzech zielonych stolikach grano w winta, kłócąc się zawzięcie, wyszedł prosto na werendę. Pragnął chłodu, pragnął się pozbyć tego wzruszenia, co nim owładnęło i pozbawiło tej pewności siebie, do jakiej był przyzwyczajony.

Przechylił się przez poręcz żelazną i oddychał głęboko — powietrze było świeże, nocne, takie właśnie, jak tylko na jesieni bywa w stepach. Naraz ujrzał w małej altance, ukrytej wśród jaworów wysokich, na które padały złote smugi świateł bijących z okien pałacu, cienie dwa jakieś. Kto to był? Nie domyślał się, było tam cicho, spokojnie; nikt nawet nie odnalazłby w nocy owego zacisza.

Zaintrygowany posunął się delikatnie naprzód, i stanął. Promień światła wślizgiwał się podstępnie między bluszcze i zdawał się przyglądać samotnikom, muskając ich po twarzach zdradliwie.

Ohana zdumiał się, chciał iść naprzód, lecz po chwili namysłu cofnął się.

Podrażniony widokiem towarzystwa obojętnego dla siebie, skręcił do głównej alei, wiodącej na werendę. Cały sznur latarek i lampionów różnokolorowych, zawieszonych na splątanych gałęziach grabowych rzucał naokół jasne światło.

Na ławce drewnianej siedziało dwóch stróżów, wyznaczonych do pilnowania illuminacyi w ogrodzie, i gawędziło sobie cicho. Z pałacu dochodziły przytłumione dźwięki jakiejś polki, i więzły w zbitej massie drzew, tracąc swoje brzmienie wyraźne.

Szedł śpiesznie napowrót do pałacu. Naraz na zakręcie dostrzegł jakąś czarną sylwetkę i zadrżał jakby na widok niebezpieczeństwa groźnego—nieszczęścia, którego uniknąć nie mógł.

W świetle czerwonego lampionu ujrzał stojącego nieruchomo jak posąg Stefana. Tak, to był on, ta sama szydercza, złośliwa twarz, ta sama zgryźliwość i nienawiść na niej rozlana. Chciał się cofnąć a nie mógł, bo Stefan go już zauważył. Serce mu się ścisnęło boleśnie, choć nie wiedział dlaczego; czuł tylko w tej chwili lepiej niż kiedykolwiek, że ten dawny towarzysz młodości nienawidził go całą swą duszą ponurą, okrutną.

Udając mimo to wesołego, zbliżył się doń i zapytał:

— Cóż tak samotnie tu stoisz; nie bawisz się, nie jesz, nie pijesz?

Stefan się uśmiechnął złośliwie i odrzekł:

— Mógłbym się o to samo ciebie zapytać.

— Ja co innego, wiesz, żem gospodarz, że muszę biegać, nad wszystkiem mieć dozór, i żem wyszedł zmęczony, zaczerpnąć świeżego powietrza.

— I ja tak samo. Mnie ta wrzawa nuży, gorąco męczy, wolę stać w ogrodzie i słuchać dźwięków tej pysznej muzyki zdaleka.

— Podoba ci się? — pytał Ohana, chcąc coś powiedzieć, bo mu wątku brakowało do rozmowy, a nie chciał go zbywać milczeniem w swym domu.

— Bardzo, bardzo.

— Więc słuchaj jej, kiedy chcesz, w ogrodzie; tylko bym ci radził lepiej zajść do bufetu, przetrącić co, napić się szampana, a następnie pokręciwszy się trochę iść w ciepłym paltocie na takie dumanie. We fraczku to za lekko na jesień.

Stefan spojrzał na niego tak jakoś dziwnie, że Ohanie się zdało, jakoby mu duszę rozdzierał, zaczem przybrawszy obojętny wyraz twarzy odparł:

— Dziękuję ci za radę. Masz racyę, tak też trzeba zrobić, jak mówisz; trochem głodny, trochę mi się pić chce, trochę mi za zimno.

— Więc chodźmy!

— Chodźmy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Literatura.

Opuściły prasę w Petersburgu:

Anonyma: Wspomnienia ex-dziennikarza. Są to illustracye stosunków naszych w epoce wyklucia się i hałaśliwego żywota młodej, a raczej młodziutkiej prasy warszawskiej; walki tej ostatniej ze starem wstecznictwem i jej legendowe machanie taranem wiedzy, które bojowników taką okryło sławą i nareszcie wykazało po latach, całą niepomylność instynktów, takt niezrównany i innych jeszcze sporo stron dodatnich.

Kajetana Kraszewskiego: „Ze wspomnień kasztelanica,” „Przyczynek do historyi obyczajów, życia domowego i wychowania w końcu XVIII wieku.”

Adama Darowskiego: Szkice historyczne, w których znajdujemy monografie: Polacy w Kremlu — Balcer Chmielnicki — Malborski jeniec — Zatargi starostów pogranicznych.

Ks. Karola Niedziałkowskiego: Miraże mądrości. Treść pracy tej stanowią: Wolność myśli i wolność czytania. Wrażenia niewierzącego w mieście świętem — Nieco o dyable — Gawęda o jednym numerze „Tygodnika Illustrowanego” — Słówko o bogactwie i ubóstwie — Kilka dni jasnych.

Prace literackie kobiet.

Wyszła w Warszawie Hygiena ludowa p. Antoszkę, (pseudonym znanej autorki piszącej dla ludu).

Broszura pod tytułem: „Action des alcaloides et des substances medicamenteuses sur les coeurs lymphatiques de la grenouille” przez D-ra Michalinę Stefanowską.

Z głów koronowanych ogłosiła drukiem tom poezyi lirycznych małżonka następcy tronu włoskiego — z domu księżniczka Czarnogórska.

Arcyksiężniczki Stefanii „Lacroma” wychodzi obecnie w tłumaczeniu angielskiem.

Nasze ogrodnictwo.

Ten dział produkcyi krajowej zwraca już uwagę sfer rządowych zaniedbaniem swojem, co wyraził w ostatnich czasach delegowany ministeryum finansów, pod którego kontrolą pozostaje istniejąca w Częstochowie szkoła ogrodnictwa p. Karola Zawady. Za wiele, jak się zdaje, kładziono dotąd nacisku w całej działalności teoretycznej i praktycznej na ogrodnictwo kwiatowe i wogóle dekoracyjne, za mało na sadownictwo i produkcyę warzyw a ogrodowizn. Odpowiednio też do tego przysposabiano i ludzi szukających dla siebie bytu w zawodzie ogrodniczym. Kwalifikowano mistrzów, a zapomniano zupełnie o pracownikach — wystawiano artystów kosztem średnio uzdolnionych, których kraj potrzebuje wielkiej liczby, podczas gdy w stosunkach naszych policzyć się dadzą w każdej guberni majątki takie, które prowadzą ananasarnie, treibhauzy i żądają od ogrodnika artystycznie rzucanych klombów i kwietników przed rezydencyami.

O użyteczności mówi się u nas dużo, ale kończy się zazwyczaj na słowach, tak, że istotnie idzie prawie zawsze piękne przed użytecznem a zbytkowne przed koniecznem. Ztąd powstała metoda traktowania ogrodnictwa jak gdyby jakieś sciencyi, wymagającej długich lat pracy, wielkich zasobów pieniądza, po których zużyciu wykwalifikowany istotnie bardzo wysoko pracownik ma uzasadnione jak mu się zdaje prawo, aby mu za jego uzdolnienie i wyłożone koszta wrócił zawód któremu się oddał.

Jeśli ma się u nas raz pomyśleć o podniesieniu produkcyi owoców, to z temi zapatrywaniami stanowczo zerwać wypadnie; inaczej będziemy zawsze mieli późną jesienią kilka galarów zepsutych jabłek na Wiśle, po owocarniach zaś gruszki deserowe dostępne jedynie na stoły magnatów, a jednocześnie dziwić się będą pisma specyalne, że u nas na każdem przyjęciu więcej widać pomarańczy niż gruszek. A jednak jest to tylko wynikiem dobrego rachunku kupić ten produkt sprowadzony z Włoch i Francyi, doświadczenie bowiem przekonywa, że nasze jabłko i nasza gruszka w miesiącach zimowych dla średniej zamożności całkowicie są niedostępne.

Dyplomy naukowe kobiet.

W Zurichu po ukończeniu Wydziału przyrodo-pedagogicznego i obronie rozprawy na temat: „Die Mittel der Desinfection und ihre Prüfung” otrzymała dyplomom panna Guttman z Warszawy. Jest to, jak zapewniają, jeden z dyplomów, które brać należy zupełnie seryo, kandydatce bowiem przysługuje prawo ubiegania się o posadę nauczycielki przy gimnazyach żeńskich w Szwajcaryi. Powiadają, że panna Guttmann zamierza się poświęcić specyalnie studyom bakteryologicznym.

W Genewie ukończyły studya ze stopniem: „bachelier ès sciences naturelles et physiques” polki: pani Matylda Idźkowska i pani Teodora z Oppmanów Męczkowska ta ostatnia z odznaczeniem „approbation complète” co stanowi najwyzszy stopień wyróżnienia.

W Paryżu otrzymała stopień D-ra Medycyny mieszkanka Płocka panna Estera Golde. Laureatka broniła rozprawy: O paleniu ciał z punktu widzenia historycznego i hygienicznego.

Tamże stopień D-ra Medycyny polka panna Eugenia Przedniewicz.

Tamże stopień D-ra Medycyny p. Józefa Joteyko. Rozprawy temat: „La fatigue et la respiration elementaire du muscle”.

Sztuka.

W salonie Krywulta przybędzie ośm obrazów pędzla p. Poświkowej, przedstawiających martwą naturę.

I Warszawa za przykładem innych miast Europejskich mieć będzie w Lutym roku przyszłego wystawę obrazów odrzuconych przez Komitety kwalifikujące do tutejszego salonu.

Zapowiadają w niedługim czasie kolekcyę portretów pędzla Witolda Pruszkowskiego. Mają to być przeważnie wizerunki literatów i artystów tutejszych, pomiędzy którymi wymieniają: Blizińskiego, Sarneckiego, Rapackiego i innych.

Wedle tego, co piszą dzienniki włoskie, Henryk Siemiradzki zajęty jest obecnie w Rzymie wykończaniem wielkiego obrazu historycznego „Neron”.

Salon Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych pomieści w Lutym roku przyszłego specyalną wystawę oarazów artysty malarza Wrzeszcza.

Z fundacyi D-ra Józefa Kazimierza Malinowskiego wakują na rok przyszły dwa stypendya po 290 złotych reńskich każde, dla polek oddających się sztuce. Warunkiem przyjęcia jest albo udowodnienie pokrewieństwa z zapisodawcą, albo stwierdzone uzdolnienie wyższe i znaczne postępy w obranym zawodzie.

Warszawski Instytut Muzyczny urządzić zamierza dwie serye wieczorów muzykalnych. Słuchacze spotkają się tam z utworami mistrzów starowłoskiej szkoły klasycznej a także z muzyką niemiecką, francuską, ruską i polską.

Towarzystwo muzyczne wystawi z początkiem roku przyszłego Sonety Krymskie Moniuszki.

Dobroczynność.

Rada miejska Dobroczynności publicznej jak donoszą pisma, niezależnie od Szpitala Dzieciątka Jezus, który jak wiadomo przeniesiony zostanie z Placu Wareckiego na plac po byłej wystawie Hygienicznej albo w blizkości Rakowca, postanawia założyć Szpital drugi, w obrębie miasta, przeznaczający dlań istniejący już tego rodzaju przytułek przy ulicy Książęcej. Leczący się w tym szpitalu chorzy przeniesieni będą w okolicę podmiejską, tutaj zaś założony będzie szpital dla chorób wewnętrznych na 300 łóżek, na co warunki i dostateczna od miasta izolacya w zupełności pozwalają.

Wskazówki i rady.

Śniadanie obiadowe na uroczystość weselną (déjeuner dinatoire).

Wódki i zakąski.

Barszcz i rosół w filiżankach z pasztecikami.

Łosoś w majonezie.

Indyczki, jarząbki, pulardy.

Kompoty mieszane, sałaty, stosownie do pory roku, sałata z pomidorów, sałata z selerów.

Jarzyny mieszane, podawać po angielsku ze świeżem surowem masłem.

Lody, owoce, kawa, likiery.

Wina: Sauterne, Reńskie, Burgundzkie, Szampan, Tokaj.

Łucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla prenumeratorów na prowincyi Koperty i Listy zwrotne.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Ноября 1896 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**